

Rozmowa z Ritą Gombrowicz

Stanisław Bereś, Karolina Bykowska

Rozmowa z Ritą Gombrowicz¹

STANISŁAW BERES: *Czy obraz człowieka, który nosi pani w swoim sercu, przystaje do tego, który pani znajduje w książkach o swoim mężu?*

RITA GOMBROWICZ: Jeśli chodzi o prace naukowe na temat Witolda, to pan zna się na nich lepiej ode mnie. Dla mnie natomiast najważniejsze jest to, by ich ton był wiarygodny.

S.B.: *Ale nikt z nas nie widział Gombrowicza w sytuacjach prywatnych: w kapciach, w szlafroku lub w koszuli przylepionej potem do pleców...*

R.G.: *(kategorycznie)* Witold nigdy nie chodził w kapciach ani w piżamie. Nienawidził szlafroków, a w domu zawsze zachowywał formę i chodził w butach. Czasem tylko zakładał swój stary płaszcz. Można powiedzieć, że problem formy uzewnętrzniał się z dużą siłą właśnie w kwestii ubierania się.

S.B.: *Czyli nie akceptował siebie jako człowieka prywatnego, nie zniżał się do odstawiania swej intymności? Nawet w zaciszu domowym grał człowieka w stu procentach oficjalnego?*

R.G.: Nie, ale to nie jest takie łatwe do sformułowania. Gombrowiczowi chodziło tylko o zachowanie formy w życiu codziennym i w stosunkach międzyludzkich. To nie był problem zewnętrznych zachowań, ale postawy, zasad kontaktu z innymi ludźmi. Nie było dwóch Gombrowiczów, nie istniało więc nigdy nic takiego, jak podział na Gombrowicza intymnego i oficjalnego. On pozostawał zawsze na tym samym poziomie, ponieważ taki sobie stawiał wymóg. Proszę pomyśleć, mimo że przez 5 lat byliśmy całkowicie sami, więc mógł sobie w wielu rzeczach

^{1/} Wywiad nieautoryzowany. Rozmowa stanowi zapis spotkania z Ritą Gombrowiczową podczas uroczystości promocyjnej w Wydawnictwie Literackim 20 maja 2002 roku. W wywiadzie wykorzystano fragmenty rozmowy Iwony Borawskiej z Ritą Gombrowiczową podczas imprezy w Teatrze Miejskim w Gdyni.

„odpuścić”, nigdy nie pofolgował sobie w niczym. Można nawet powiedzieć, że to była forma jego wielkości.

S.B.: *Próbuję sobie wyobrazić swoją żonę, paradującą codziennie po domu, od rana do wieczora, w sukni balowej, na szpilkach i z „wyjściową” fryzurą. Jakoś mimowolnie przeraża mnie taki obraz. Czy nie tęskniła pani nigdy za prywatnością i zachowaniami „domowymi” w kontaktach z mężem? Nie chciała pani, żeby czasem zza tej formy wyjrzała zwyczajność?*

R.G.: Nie, ponieważ jego zachowanie zawsze było naturalne. Gombrowicz w ogóle był trochę jak mnich, miał niewielkie potrzeby materialne i wszystkie siły kierował na to, co najważniejsze. Ważne było tylko, żeby zawsze miał swój stół do pracy, długopis i kartki papieru.

S.B.: *Jak wyglądał dzień powszedni Gombrowicza?*

R.G.: Witold był człowiekiem wyjątkowo zorganizowanym i punktualnym. Często dawał nawet swoje życie za przykład innym. Wstawał około dziewiątej, po śniadaniu słuchał trochę muzyki (w ostatnich latach życia były to późne kwartety Beethovena), a potem pracował. Obiad jadał o stałej porze, potem udawaliśmy się na spacer, a po południu zajmował się korespondencją. Jest rzeczą ciekawą, że systematycznie odpowiadał na wszystkie listy, nawet na najgłupsze. Po prostu uważał, że korespondencja wymaga odpowiedzi. Miał zresztą swoją teorię na temat pisania listów – zanim siądzie się do pióra, należy list przeczytać po raz drugi, ponieważ jest on po to, by się komunikować, a nie wygłaszać za jego pośrednictwem własne teorie literackie. Kiedy któregoś dnia *notabene* doszedł do wniosku, że skoro wybitni artyści pozostawiają po sobie korespondencję intelektualną, a on nie ma nic do opublikowania, to trzeba ją jak najszybciej stworzyć, po czym zwrócił się z prośbą do naszego sąsiada – malarza Jena Dubuffeta z pytaniem, czy mogliby zacząć korespondować ze sobą na tematy bardziej wyszukane. Nie była to więc, jak się łatwo domyślić, żadna spontaniczna wymiana spostrzeżeń, ale konfrontacja poglądów na temat sztuki. Dubuffet był zresztą trochę zde gustowany agresywnością teorii Gombrowicza na temat malarzy i malarstwa, ponieważ uważał on, że malarstwo, tak jak papieros, jest potrzebą sztuczną.

S.B.: *Wspomniała pani, że Gombrowicz, zanim zaczął pisać, słuchał zwykle Beethovena, zwłaszcza w ostatnich latach życia. Czy ta muzyka wprawiała go w jakiś specjalny nastrój?*

R.G.: Przez ostatni miesiąc życia planował napisanie sztuki, której osnową byłby kwartet Beethovena. Stąd słuchał go przez cały czas, analizując formę, która jest jednocześnie prosta i bardzo złożona. Miała być to sztuka na dwie osoby: mężczyznę i muchę, która cierpi. Chciał pokazać konfrontację człowieka z bólem w stanie czystym. Kiedy ostatnio czytałam *Ferdydurke*, natknęłam się na scenę z muchą, która cierpi na buciku licealistki. Od razu pomyślałam sobie, że kwestia tej cierpiącej muchy dręczyła go zaskakująco długo.

Rozmowy

S.B.: *Gombrowicz reagował chyba wyjątkowo żywo na cierpienie bezbronných stworzeń, wnosząc ze słynnego opisu z zuczkami na plaży w Dzienniku. On w ogóle miał, zdaje się, dość osobliwy stosunek do zwierząt, wnosząc, jak traktował państwa psa – Psinę.*

R.G.: Witold nie mógł patrzeć na cierpiące stworzenia i zależało mu na tym, żeby zwierzęta były szczęśliwe, stąd szanował prywatne życie swojego psa. „Niech prowadzi swoje psie życie” – mawiał.

S.B.: *Dla wielu artystów pisanie jest czynnością szalenie intymną, wręcz fizjologiczną. Jak było pod tym względem z Gombrowiczem?*

R.G.: Witold zawsze mówił, że wstydzi się swojego pisania, więc zachowywał twórczą dyskrecję. Miał co prawda swój pokój, ale nie wiadomo dlaczego zostawiał otwarte drzwi. Dlatego początkowo wędrowałam po domu na czubkach palców, żeby nie robić hałasu, na co Gombrowicz powiedział: „Uspokój się, przecież to nie kościół”.

S.B.: *Relacje wszystkich osób, które знаły Gombrowicza, zdradzają zasadnicze pięknięcie: dla jednych był rodzajem pozera, który ciągle coś udaje; dla innych natomiast człowiekiem naturalnym i szczerym, nawet na swój sposób bezbronnym – bez żadnej pozy i miny. Czy istniały jakieś jasne reguły jego zachowania się wobec ludzi? Bo chyba jest oczywiste, że z jednymi postępował tak, a z drugimi inaczej...*

R.G.: Witold miał swoje strategie i wciąż prowadził jakieś gry, co w dużej mierze zależało od tego, kto i w jakim charakterze do nas przychodził. Nigdy zresztą nie był specjalnie spontaniczny.

S.B.: *Gombrowicz uwielbiał prowadzić spory intelektualne. A to ma poważne konsekwencje, bo kiedy z kimś się spieramy, zyskujemy przeciwników i wrogów. A to już nie jest przyjemne.*

R.G.: Dla Witolda posiadanie nieprzyjaciół było bardzo ważne. A „polski” Londyn był nimi wręcz nafaszerowany. Często sporządzał ich listę, dokładnie ponumerowaną według ważności.

S.B.: *I kto był na pierwszym miejscu?*

R.G.: Największym nieprzyjacielem Gombrowicza były „Wiadomości Literackie”, a z konkretnych osób niejaki pan Grabowski – wróg prywatny numer jeden.

S.B.: *Emigracja polska wylewała na Gombrowicza pomyje za tzw. „dezercję”, on zaś był zbyt dumny, żeby się tłumaczyć. Nie wierzę, aby taką nawalnicę oskarżeń można było przyjąć bez bólu.*

R.G.: Często się mówi o jego stosunku do wojny, i o tym, że był tchórzem, bo nie wrócił do kraju. Dla mnie natomiast był bojownikiem intelektualnym, człowiekiem o wielkiej waleczności umysłowej. Miał w sobie pewną odwagę istnienia, której nigdy później, po jego śmierci, nie spotkałam już u nikogo. Nie czytałam jego dzieł po polsku, więc odbierałam go takim, jakim był w rzeczywistości. Wi-

Bykowska, Beres Rozmowa z Ritą Gombrowicz

działam go w obliczu cierpienia, samotności i śmierci. I muszę powiedzieć, że trudno o większą odwagę.

S.B.: *Emigracja to ciężki los. Czy Gombrowicz cierpiał z powodu oddalenia od kraju?*

R.G.: Witold często mówił, że artysta z definicji jest emigrantem. Nigdy nie uskarżał się z tego powodu. Był optymistą, był mężny w stosunku do życia, nigdy się nie skarżył, nie pozował na męczennika emigracji. Przeciwnie – ona była dla niego wyzwoleniem.

S.B.: *Poznaliście się państwo zaledwie pięć lat przed śmiercią Gombrowicza. Nie było więc zbyt wielu szans, by utrwalił panią w swojej twórczości. Ale pozostał zabawny jeden portrecik z tamtych lat, utrwalony na kartach Dziennika. Co by pani w nim dziś skorygowała?*

R.G.: A jest rzeczywiście taki portret?

S.B.: *Cytuję: „Kanadyjka, ładna, niezwykle szczerza, choć trochę naiwna w swej szczerości i niewinności, inteligentna, godziny całe trawimy na dyskusjach i nie nudzimy się ze sobą, niezależna, nieco chłopięca, zjednywa sobie sympatię ludzką. Ani źdźbła pretensjonalności, sztuczności, minoderii, słowem – manieri”.*

R.G.: *(zaskoczona)* To wspaniałe usłyszeć coś takiego. Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek to przeczytam. To wspaniały podarek, którego Witold prawdopodobnie nie chciał publikować. Bardzo możliwe, że potem już tak nie myślał.

S.B.: *Zastanawiałem się nieraz, kim była ta dziewczyna, która poświęciła swoje życie ledwie poznanemu człowiekowi? Była z nim pani tak krótko, ale pozostała z nim w jakiś sposób na zawsze, opiekując się jego dziełami. Pisała pani, że zawsze czuła, iż tak się stanie.*

R.G.: Już moje pierwsze spotkanie z Witoldem w 1964 roku było jakąś tajemnicą. Mimo że opowiadałam o nim wiele razy, a nawet pisałam, mam wrażenie, że nie potrafię nazwać wszystkiego. Byłam wtedy studentką i próbowałam napisać doktorat. Gombrowicz przyjechał akurat z Berlina do Royaumont pod Paryżem i był w strasznym stanie. Zatrzymał się tam po to, by odzyskać siły i móc wrócić do Argentyny. Dla niego, astmatyka, tamtejszy klimat był bardzo nieprzyjazny. Może dlatego był wówczas tak nerwowy. Pod koniec pobytu zapytał mnie, czy chciałabym z nim wyjechać w jakieś miejsce, które byłoby piękne, przyjazne dla jego astmy i nie groziło trzęsieniem ziemi. *(śmiech)* Kiedy wyznał, że myśli o Barcelonie, odpowiedziałam, że muszę zostać we Francji, bo chciałabym ukończyć doktorat. Poradził mi wówczas, żebym zmieniła temat i poświęciła go jego twórczości, a wtedy on napisze mi tę pracę w dwa tygodnie, gdziekolwiek byśmy nie pojechali.

W końcu Gombrowicz zdecydował się jednak pozostać we Francji, więc przeniósłam wszystkie swoje dokumenty z Sorbony do uniwersytetu w Aix-en-Provence, ponieważ mieszkali tam moi kanadyjscy przyjaciele. Witoldowi okolice bardzo się spodobały, więc osiedliliśmy się w Vence.

S.B.: *Nigdy w żadnych pani wspomnieniach nie znalazłem nawet słowa o tym, co działo się z panią wcześniej, jeszcze przed spotkaniem z Gombrowiczem? Tak, jakby pani życie uczuciowe rozbudziło się dopiero wtedy?*

R.G.: *(ze śmiechem)* No, przez te dwa miesiące zdarzyło się wiele rzeczy. Wszyscy młodzi, którzy byli wtedy w centrum kulturalnym w Royauumont, bo przecież nie byłam tam sama, stali się *gruppies* Witolda. Uwielbialiśmy go, ponieważ przekomarzył się ze wszystkimi intelektualistami, którzy się tam znajdowali. Był przy tym szalenie dyskretny, nie narzucał się ze sobą i był podobny do Chaplina, a to, co mówił, było zachwycające, gdyż stanowił przeciwieństwo stereotypowego intelektualisty. Często z nim rozmawiałam, a kiedy wyjeżdżałam na krótkie wycieczki konne i w drodze powrotnej spotykałam go na spacerze, nieustannie dziwił się, jak mogę uprawiać taki idiotyczny sport, który polega na tym, że jedno zwierzę siada na drugie.

On był bardzo uwodzicielski, nawzajem się przyciągaliśmy, pobudzaliśmy, a robił na mnie tym silniejsze wrażenie, że ogromnie szczerze odpowiadał na wszystkie moje pytania. Pamiętam na przykład, jak opowiadał o swoim pobycie w Berlinie, co było dla mnie wręcz poruszające, gdyż mówił o tym, co tam przeżył (a były to rzeczy dla niego bardzo trudne) bez cienia patosu. Być może dzięki tym rozmowom narodził się i błyskawicznie pogłębił się nasz związek.

S.B.: *W jakim stopniu pani dom i dzieciństwo były antycypacją przyszłości, bo domyślam się, że wyobrażenie swojego życia z Gombrowiczem – nielatwego, jak podejrzewam – musiała pani wynieść z lat wczesnej młodości? To na ogół dom rodzinny przygotowuje nas do przyszłych ról życiowych.*

R.G.: Może rzeczywiście moja biografia jest w stanie coś panu przybliżyć i wytłumaczyć. Pochodzę z Kanady, z Quebecu, z bardzo licznej, związanej ze sobą ścisłymi więzami, katolickiej rodziny. Było nas w domu dziewięcioro dzieci, co w tamtych czasach nie było jednak aż tak wielką liczbą. Można by nawet powiedzieć, że było nas jak na ówczesne standardy niewiele. Po szkole podstawowej wszystkie dzieci w wieku dwunastu lat, a więc również ja i moje rodzeństwo, byliśmy oddawani do *colege'ów*, które znajdowały się w klasztorach. Dzięki temu cała społeczność Quebecu znajdowała się pod pełną opieką i kontrolą Kościoła. Byliśmy pozostałością starej kolonii francuskiej, oderwanej w 1763 roku od Francji przez Anglików, którzy narzucili nam swoją dominację. Kiedy utraciliśmy naszą ojczyznę, spora część elit Quebecu, która dyrygowała życiem publicznym, powróciła do Francji, a my dostaliśmy się pod władanie Anglików. W tej sytuacji wziął nas pod swoje skrzydła Kościół katolicki, by bronić wiary, a przy okazji chronić swoje przywileje. Dawano nam na przykład do zrozumienia, żebyśmy się rozmnażali, aby w ten sposób przeciwstawić się angielskiej dominacji. Społeczeństwo Quebecu było bardzo na sobie skoncentrowane, bo stanowiliśmy mniejszość i cały czas wzrastaliśmy w tęsknocie za Francją.

<http://rcin.org.pl>

S.B.: *Czy pani rodzina była typowa, jak na tamtejsze warunki?*

Bykowska, Beres Rozmowa z Ritą Gombrowicz

R.G.: Sądzę, że nie różniła się od innych. Dużo mówiło się i tęskniło za Francją, więc w wieku 23 lat, po skończeniu studiów literaturoznawczych w Montrealu, znalazłam się we Francji, gdzie zamiast spotkać jakiegoś francuskiego pisarza, los zetknął mnie z pisarzem polskim. Moje życie zmieniło się od tego momentu radykalnie.

S.B.: *Ten model życia rodzinnego, o którym pani mówi, powinien być chyba przybliżyć panią do Gombrowicza, pochodzącego przecież z rodziny ziemiańskiej?*

R.G.: Jeśli opowiadam panu to wszystko na temat Quebecu, to właśnie dlatego, że myślę, iż panujący tam model życia i moja osobista sytuacja pozwoliły mi później lepiej zrozumieć niektóre cechy Polaków. Byliśmy wszyscy katolikami pod obcą dominacją, mieszkaliśmy na wsi, uprawialiśmy ziemię, a mój ojciec był farmerem. Z tej perspektywy Polska była mi znacznie bliższa niż przeciętnej Francuzce.

S.B.: *Gdy myślę o pani wyborze życiowym, to wydaje mi się, że był on pod prąd wszelkim ówczesnym tendencjom światopoglądom we Francji. Dojrzał rok 1968, młodzież lansowała postawy liberalne obyczajowo, a pani zdecydowała się na opiekę nad dużo starszym od siebie i bardzo schorowanym człowiekiem, a potem – po jego śmierci – nad jego spuścizną. Sądzę, że raczej na pewno nie mogłaby pani być wzorem dla feministek...*

R.G.: Ależ ja jestem feministką, bardziej niż można by sądzić. Jeśli chodzi o małżeństwo, moim ideałem był związek Simone de Beauvoir i Jean Paula Sartre'a, więc sądzę, że mi się też udało. Nigdy nie czułam, by moje życie stanowiło pasmo poświęceń. Potrzebowałam, być może, takiej neurotycznej formy miłości, która przypominałaby mi uczucie do mojego ojca. Żeby móc funkcjonować i istnieć, potrzebowałam widocznie przejść przez taki rodzaj miłości. Gdybym poszła inną ścieżką mojego losu – taką, o której myślałam, zanim poznałam Gombrowicza – zostałabym zapewne profesorem uniwersytetu albo nauczycielem w liceum i spędziłabym życie na mówieniu o pisarzach. Chyba lepiej jednak jest poznać osobieście i dogłębnie kogoś takiego, niż tylko o nim opowiadać. Przyznaję jednak, że tego typu życie nie było łatwe, bo trzeba było pokonać wiele przeszkód.

S.B.: *W czasie, kiedy była pani z Gombrowiczem, poglądy antykomunistyczne we Francji były wyjątkowo niepopularne. Czy nie czuła się pani jak nosorożec? Bo przecież w końcu pani uwierzyła dziwnemu emigrantowi zza żelaznej kurtyny, odrzucając wszystko to, co mówiły wówczas gazety i intelektualiści francuscy. To też na pewno nie było łatwe.*

R.G.: Witold był bardzo rozsądny, przekonywający i wolny w swoich wyborach. Nie miał w sobie nic z fanatyka. Ponieważ w czasach dzieciństwa zetknęłam się z różnymi formami nacisku i mechanizmami cenzury kościelnej, znałam już z autopsji te problemy, a w wypowiedziach marksistów, dyskutujących z Witoldem w Royaumont, rozpoznawałam znany mi z dzieciństwa ton fanatyzmu. Słyszac, jak się z nimi spierał, byłam w stu procentach po jego stronie, bo wszystko, co mówił, przepojone było duchem wolności. Poza tym, kiedy jest się młodym, siłą rzeczy jest się po stronie Gombrowicza.

Rozmowy

S.B.: *Jak wygląda portret kobiety w prozie pani męża?*

R.G.: Na to pytanie lepiej ode mnie mogliby odpowiedzieć uczeni, zajmujący się jego twórczością.

S.B.: *Jak w takim razie na tę kwestię zapatruje się prof. Margański?*

PROF. JANUSZ MARGAŃSKI: Kobiety w dziełach Gombrowicza są przedstawione mało wyraziście, bardzo ogólnie, ale zawierają w sobie cały kosmos, bo na przykład o Iwonie można napisać spory traktat teologiczny. Czyli wokół tych niewyrazistych postaci skupia się to, co najważniejsze. W sensie psychologicznym są to na ogół rzeczy związane z syndromem zaniechanej inicjacji.

S.B.: *Czy gdyby był pan kobietą, tego typu postaci sprawiłyby panu radość?*

J.M.: Jako mężczyzna nie mam prawa do tego typu perspektywy, niemniej sądzę, że warto i ciekawie byłoby spojrzeć na te zabiegi Gombrowicza z punktu widzenia kobiety, choć nie sądzę, by nadawała się do tego celu metodologia feministyczna.

S.B.: *Gdybym w swej twórczości opisywał kobiety jako istoty na ogół niedojrzałe, mało lotne lub duchowo rozlazłe, to przypuszczam, że musiałbym przy śniadaniach nasłuchiwać się od swojej żony wielu przykrych rzeczy. Czy pani dyskutowała na temat postaci kobiecych ze swoim mężem? I czy słuchał panią uważnie?*

R.G.: (z przekonaniem) Zawsze! Witold w życiu codziennym wcale nie był mizoginem, wręcz przeciwnie. Życzę wszystkim kobietom, by miały takich mężów. Mizoginizm, który daje się zauważyć w jego dziełach, dotyczy przede wszystkim problemu uczuć. Myślę, że w literaturze i w życiu interesowały go głównie kobiety młode i nowoczesne. Nie przypadkiem tak ważną rolę odgrywają u niego licealistki i istoty takie, jak Albertynka.

S.B.: *Wspomniała pani, że w jakiś sposób była już wcześniej przygotowana duchowo na spotkanie z kimś takim, jak Gombrowicz. Ale on również był już wcześniej, przed poznaniem pani, przygotowany na to spotkanie, bo chętnie opisywał młodzientki, gotowe rzucić się głową przed siebie w życie studentki i licealistki. Zastanawiam się więc, czy tę młodą, olśniewająco piękną kobietę, która przybyła do Francji zza oceanu, nie intrygował i nie niepokoił taki obraz kobiet w jego twórczości?*

R.G.: Witold i moje życie z nim to coś absolutnie normalnego, proszę pana. Jeśli się tego się nie przyjmie, rozminie się pan z tym, czym było naprawdę nasze życie. Przeżyliśmy razem coś nadzwyczajnego, choć oczywiście zdarzały się nam różne problemy. Nie należy jednak spoglądać na nas na zasadzie domniemania inności.

S.B.: (ze śmiechem) *Jest pani strasznie podejrzliwa. Niczego nie podejrzewam, niczego nie insynuuję. Po prostu interesuje mnie, czy miała pani jakikolwiek wpływ na bohaterki, które powstawały pod ręką męża?*

Bykowska, Beres Rozmowa z Ritą Gombrowicz

R.G.: Kiedy poznałam Witolda, jego dzieło było już właściwie ukończone. Być może mogłabym go inspirować w zakresie muzyki do *Operetki*, ale nie sądzę, bym była w stanie znacząco wpływać na jego książki.

S.B.: *A kim są pani zdaniem kobiety w twórczości pani męża, jeśli chodzi o ich usytuowanie socjalne?*

R.G.: (milczy, spogląda w kierunku prof. Jarzębskiego)

PROF. JERZY JARZĘBSKI: Jest kilka typów kobiet w twórczości Gombrowicza. Po pierwsze, pojawia się bohaterka bez wyraźnego pochodzenia, często gdzieś z niejasno określonych dołów społecznych. Na przykład Albertynka z *Operetki* jest pochodzenia mieszczańskiego, ale to jej jakoś szczególnie nie naznacza. Są też u niego bohaterki określone przez swoją pozycję społeczną, jak na przykład Królowa ze *Ślubu*, która ma gorzką świadomość, że jest już stara i skończona jako piękność, ale jeszcze może epatować wyższą świadomością w stosunku do infantylnych dziewczątek. Są oczywiście w prozie Gombrowicza także służące, które pojawiają się gdzieś na kuchennych schodach, a w jeszcze dalszym tle, na przykład w *Ferdurke*, spotykamy też dziewczki kuchenne.

S.B.: *W jakim stopniu więc dla Gombrowicza był ważny problem pochodzenia społecznego? Czy rzutował on na jego stosunek do kobiet?*

PROF. JANUSZ MARGAŃSKI: Był istotny, zwłaszcza w *Dzienniku*, gdzie Gombrowicz rozwijał niemalże marksistowski dyskurs na temat rewolucji jako efektu obrażonego poczucia moralnego. We wszystkich jego tomach, podobnie jak w powieściach i dramatach, hierarchia społeczna buduje cały kosmos. Choć oczywiście jest w tym mnóstwo przekory, dążenia do pastiszu, z drugiej zaś strony tęsknoty za prawdziwą wiarą. To myślenie można odnieść do rozumowania Nietzschego, który był Gombrowiczowi bliski, choć koniecznie trzeba dodać, że wszelkie myśli o nadczłowieku go wręcz śmieszyły.

S.B.: *A jak sądzi pan: czy Gombrowicz w swojej twórczości inaczej traktował nisko urodzonego mężczyznę, a inaczej prostą kobietę?*

J.M.: Samo to, co męskie i żeńskie, jeśli chodzi o erotykę, różnicuje się, rozwija. Z takiego punktu widzenia można sięgnąć do najstarszych tradycji mówienia o Erosie jako sile sprawczej.

S.B.: *Być może Gombrowicz był ostatnim polskim pisarzem, dla którego istotne było pochodzenie jego bohaterów. W krajowej prozie kwestia, z jakiej kto się wywodził sfery, przestała praktycznie istnieć. Na emigracji natomiast było inaczej, a Gombrowicz, jak wiemy, uwielbiał odgrywać hrabiego. A przy takich resentymentach rodzą się problemy, bo arystokrata powinien spędzać czas z arystokratą, a nie – powiedzmy – z pucybutem. Interesuje mnie, jak ten problem rzutował na życie Gombrowicza? Jak wyglądały jego relacje z tzw. prostym człowiekiem?*

RITA GOMBROWICZ: Gombrowicz świetnie czuł się ze zwykłymi ludźmi, co widać było w jego stosunku do Argentyńczyków. Był kompletnie wyzwolony z przesądów, a wszystko, co wyniósł na ten temat z domu, później nie miało już dla niego specjalnego znaczenia. On zachował arystokratyczne spojrzenie w swojej filozofii i w sposobie oceniania wartości, których znał prawdziwą skalę. Witolda wyrzeźbiły przede wszystkim 24 lata emigracji. Wyniósł z tej nauki sporo doświadczenia.

S.B.: *Zawsze bawiło mnie to, co czytałem na temat podejścia Gombrowicza do teatru. Momentami podejrzewałem nawet jakiś humbug, ale chyba rzeczywiście miał z tym jakiś problem. Jak przyjął na przykład inscenizację Ślubu w Comédie-Française?*

R.G.: Witold nigdy nie chodził do teatru, ponieważ zawsze wprawiali go w zdumienie ludzie siedzący w rzędach i podglądający życie innych ludzi na scenie. Jako pierwszy wystawił jego sztukę Jorge Lavelli. Stało się to dzięki Krystynie Zachwatowicz, bez której nigdy nic by się nie wydarzyło. Witold był zdumiony i zachwycony swoim sukcesem. Zawsze dziwiły go własne sztuki przeniesione na scenę, a sukcesy zdumiewały go i zaskakiwały, ponieważ się ich nie spodziewał. Żartobliwie mawiał, że teatr dodaje mu seksapilu.

S.B.: *A jak mu się podobała ta pierwsza inscenizacja?*

R.G.: Francuzi nie byli wtedy zbyt mili. Trzeba to jednak zrozumieć, bo *Ślub* nie jest tak naprawdę sztuką napisaną z myślą o nich, a przedstawienie miało na dodatek charakter uroczystej mszy w stylu barokowym. Poza tym w tekście ujawniły się jakieś problemy językowe. Tym wspanialsze jest zatem, że twórczość Gombrowicza jest dziś częścią repertuaru Comédie-Française.

S.B.: *Wiemy, że Gombrowicz był człowiekiem niewierzącym, jednocześnie Bóg stale pojawiał się w jego twórczości. Jaki był zatem stosunek do Boga?*

PROF. ZDZISŁAW ŁAPIŃSKI: Sam Gombrowicz nie umiałby chyba w paru słowach tego wyjaśnić, tym bardziej że jego teozofia przez lata ewoluowała. Jeśli wierzyć jego własnym słowom, już jako kilkunastolatek w łagodny sposób utracił wiarę. To nie było jakieś *Niebo w płomieniach*, ale rodzaj uwiadu religijności. Przyjmując opinię Miłosza – eksperta w tych sprawach – należałoby powiedzieć, że Gombrowicz jest do cna ateistyczny, być może zresztą jako jedyny obok Przybosa. Wbrew temu bowiem, co pan powiedział, temat Boga jest w późnym okresie jego twórczości raczej pustym miejscem, wokół którego krążą jego myśli. Wiemy jednakże, że listy z ostatnich lat życia kończył formułą „z Bogiem” lub innymi podobnymi zwrotami, które były parodią różnych form grzecznościowych, obowiązujących ongiś w korespondencji. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z jakimś innym, trudnym do wyjaśnienia sensem, nieznanym z wcześniejszej produkcji słownej Gombrowicza. Co możemy powiedzieć na pewno? To, że wszystko, co stanowi zewnętrzna strona religii, a więc ceremoniał kościelny, liturgia, jest nieustannie

Bykowska, Beres Rozmowa z Ritą Gombrowicz

u niego parodiowane i pastiszowane, a zarazem wskazuje na to puste według Gombrowicza miejsce, które w religii zajmuje Bóg.

S.B.: (do Rity Gombrowicz) *A jak było w życiu codziennym? Czy problem Boga pojawiał się w państwa rozmowach?*

RITA GOMBROWICZ: Ja też jestem ateistką. Gombrowicz zasadniczo nie przyjmował do wiadomości, że są ludzie wierzący, jak na przykład jego siostra, często też mówił, że Bóg umarł. Ale muszę też przyznać, że potrafił niekiedy na przykład powiedzieć, że ukrzyżowany Chrystus istnieje. On tego nie mówił może całkowicie serio, ale trudno zlekceważyć, kiedy ktoś taki jak on mówi, iż wydaje mu się, że zaczyna wierzyć, bo czuje się jak Chrystus rozpięty na krzyżu. On bardzo cierpiał, ale pozostał ateistą.

S.B.: *Kiedyś zapytałem pewnego bardzo znanego księdza, którego nazwiska nie mogę niestety wyjawzić, czy jest pewien, że Bóg istnieje. Odpowiedział mi, że takiej pewności nie ma, ale jest za to pewien, że szatan istnieje. Może więc Gombrowicz uważał podobnie? Czy rozmawialiście państwo kiedykolwiek na ten temat?*

R.G.: O samym diable specjalnie nie rozmawialiśmy, ale często dyskutowaliśmy o złu. Witold brał pod uwagę punkt widzenia katolików. Naprawdę!

S.B.: *Chciałbym teraz zapytać o kwestię, która może nie być specjalnie dla pani zrzeczna, więc zwrócę się najpierw do eksperta (do prof. Boleckiego): Jak oceniasz przekłady Gombrowicza na francuski?*

PROF. WŁODZIMIERZ BOLECKI: Nie znam niestety wszystkich przekładów. Te jednak, które nie są mi obce, wymagają szeregu poprawek. Podobną opinię mają eksperci w tym zakresie, którzy twierdzą, że tłumacze Gombrowicza przykrawali go do swojego rozumienia tekstu. Kiedy przeglądałem swojego czasu tłumaczenie pierwszego tomu *Dziennika*, sam również zauważyłem w nim brak wielu fragmentów, a poszczególne zdania niejednokrotnie brzmiały zupełnie inaczej.

S.B.: *Czy pani się zgadza z taką opinią? Jeśli tak, to dlaczego autoryzuje pani tak wątpliwe przekłady?*

RITA GOMBROWICZ: Można godzinami mówić na ten temat. Każdy tłumacz przekłada, filtrując utwór przez własną osobowość, stąd na przykład pierwszy tłumacz *Dziennika* Allan Kosko zrobił z Gombrowicza pisarza bardzo wykwintnego. Ale nie sądzę, aby w tekście czegoś brakowało. Co najwyżej pod koniec pierwszego tomu nie ma dużego fragmentu o Sienkiewiczu, ponieważ w owym czasie nie interesowało to specjalnie francuskiego czytelnika. Nie sądzę jednak, by brakowało tam jeszcze jakichś innych partii tekstu. Istotne jest, żeby wszystko zostało przetłumaczone zgodnie z duchem oryginału. Są utwory Gombrowicza, które lepiej poddają się przekładowi na język francuski, a są i takie, które się temu opierają.

S.B.: *Podjejrzuwając taką pani reakcję, przyniosłem na wszelki wypadek artykuł Maryli Laurent na temat tłumaczeń Gombrowicza pod symptomatycznym tytułem Przyprawianie gęby Gombrowiczowi. Jest to bardzo dobra tłumaczka, o ogromnym dorobku translacyjnym, która naukowo zajmuje się teorią przekładu. Bez wątplenia można jej wierzyć. Przykłady, które podaje, są doprawdy poruszające. Kiedy francuski tłumacz opowiada o salonie literackim Zofii Nałkowskiej, pisze o niej per Madame Sofia, co znaczy, że mamy do czynienia z właścicielką domu publicznego. Kiedy w chwilę później pisze o stosunkach towarzyskich pomiędzy Nałkowską a Piłsudskim, absolutnie nie może być wątpliwości, że ze sobą sypiają, bo cytuje: „łączą ich stosunki intymne”. Skoro zaś Marszałek chce mieć do czynienia z samą burdelmamą, musi chodzić o jakiś wyższy poziom perwersji. Przykłady można niestety mnożyć.*

R.G.: To jest rzeczywiście wielki problem, bo zabierając się do nowych przekładów, trzeba wierzyć, że będą lepsze niż dotychczasowe. Moim zdaniem nie można z powodu dwóch czy trzech nieudanych wyrażen niszczyć całego dorobku tłumaczeniowego Gombrowicza. Ostatecznie dzięki tym wersjom nauczyłam się go kochać. W przekładzie bowiem od dosłowności istotniejszy jest rytm tekstu. Bez niego tekst nie jest sobą. Łatwo jest zdyskwalifikować każde tłumaczenie, gdy trzymać się będziemy pojedynczych zdań i sformułowań, a tymczasem problem nie jest taki prosty. Myślę więc, że łatwiej jest dokonać przeglądu istniejących przekładów. Poza tym problem polega też na tym, że nie ma zbyt wielu dobrych tłumaczy z języka polskiego.

S.B.: *Ooo, trochę ich jest. Proponuję urządzić casting i wybrać najlepszego.*

R.G.: To nie jest takie łatwe. No chyba, że pan mi pomoże zorganizować ten turniej... Poza tym chciałam zwrócić uwagę, że przykłady, które pan cytował, dotyczą pojedynczych słów i sformułowań, natomiast najważniejszy jest duch tłumaczeń, a nie jakieś szczegóły. Ja w wielu rzeczach po prostu nie zgadzam się z autorką cytowanego przez pana tekstu, bo znam jej tezy.

S.B.: *Obstają przy swoim. Tu wcale nie chodzi o „szczegóły”, ale o poważne naruszenia sensów oraz nieobecność poważnych partii utworów. Na przykład w tłumaczeniu Kosmosu brakuje ok. ? tekstu. A przecież nie jest to dzieło kulturowo idiomatyczne. Wręcz przeciwnie, jest wyjątkowo „międzynarodowe” i może je zrozumieć każdy Niemiec, Francuz czy Amerykanin. Co najgorsze jednak, wycięcia, o których pisze Laurent, dotyczą fragmentów, bez których nie można zrozumieć filozofii Gombrowicza, chodzi bowiem o te partie, gdzie rozważane są tajemne relacje między rysą na suficie, powieszonym wróblem, krzywymi ustami Katasi i uduszonym kotem. Nie muszę chyba tłumaczyć, że chodzi tu o cały system znaków, który ma podstawowe znaczenie dla tej powieści. Jeśli ich nie ma, tekst staje się banalną powieścią obyczajową.*

R.G.: Mogę zaświadczyć, że tłumaczenie *Kosmosu* zostało słowo w słowo sprawdzone przez Gombrowicza w Vence. Czytał je i akceptował, choć rzeczywiście podczas lektury cierpiał, czego jestem bezpośrednim świadkiem, ale nie potrafię powiedzieć, w jakim stopniu dotyczyło to niezręczności lub błędów tłumacza. Wiem

tylko, że przykrość sprawiały mu problemy związane ze strukturą zdań, a jeśli chodzi o przysłówia, trudno było w ogóle o jakiegokolwiek ekwiwalenty. Witold narzekał, że w języku francuskim jego proza dusi się jak w gorsecie, a on sam zmienia się w markizę de Sévigné. Często jednak w przekładach jest tak, że sama natura języka obcego nie pozwala na oddanie pewnych kwestii.

S.B.: *Gombrowicz w obrębie języka polskiego jest mistrzem, co bez wątpienia potwierdzi pani każdy badacz jego twórczości. Mistrza języka polskiego musi zatem tłumaczyć mistrz języka francuskiego. Inaczej jego dzieła we Francji brzmieć będą jak kwartety Beethovena grane na grzebieniu.*

R.G.: Bardzo trudno, proszę pana, jest znaleźć we Francji kogoś, kto byłby na poziomie Gombrowicza i pisałby z równą sprawnością jak on, więc nie wierzę, aby można było uzyskać w zakresie przekładów jego dzieł jakieś nadzwyczajne efekty. Skoro jednak rodzą się aż tak poważne wątpliwości, zapytajmy prof. Błńskiego, który świetnie zna przekłady francuskie Gombrowicza, co o nich sądzi.

PROF. JAN BŁŃSKI: (*zakłopotany*) Nigdy nie analizowałem pod tym kątem francuskich tłumaczeń, więc z przykrością nie mogę pani pomóc.

PROF. JERZY JARZĘBSKI: Sam Gombrowicz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie wszystko, co napisał, jest łatwe do przetłumaczenia, więc być może dlatego nie nalegał na zachowanie wszystkiego. Na przykład pierwsze tłumaczenie *Ferdydurke* na język francuski zostało dokonane przez jego znajomego Francuza z Buenos Aires. Uzyskało zgodę i akceptację autora, ale wiemy przecież, że jest to przekład niepełny, bo brakuje w nim ogromnych partii tekstu. Można więc przypuszczać, że Gombrowicz z czysto taktycznych względów zgodził się, żeby w tekście opuścić to, co było dla tłumacza za trudne. Problem polega jednak na tym, że ten przekład – jak wiadomo – stał się podstawą kolejnego (równie okrojonego) tłumaczenia na angielski. Francuskie tłumaczenie Sédira ma już swoje lata, natomiast pełny przekład *Ferdydurke* na język angielski istnieje dopiero od ubiegłego roku. Na ile dobrze brzmi on po angielsku, tego nie wiem. Od *native-speakerów* słyszałem różne nieciekawe opinie...

S.B.: (do Rity Gombrowicz) *No więc jednak nie jest zbyt dobrze...*

R.G.: Ten problem istniał już z życia Witolda. Zachowało się kilka listów, w których pisał, że woli dobrego tłumacza niż płaskie, choć całkowicie wierne tłumaczenie z polskiego. Pierwszy przekład *Ferdydurke* na francuski ukazało się pod pseudonimem de Bron, pod którym ukrywał się sam Witold, który miał już za sobą doświadczenie zbiorowego tłumaczenia tej książki na hiszpański, więc zwrócił się do ambasady francuskiej, aby przydzielono jakiegoś młodego studenta, by czuwał nad przekładem, co pokazuje w jaki sposób się to wszystko odbywało. Ten przekład Witolda ukazał się zresztą we Francji.

Generalnie jednak to nie są sprawy proste. W 1973 roku mieszkałam we Włoszech, więc nie miałam pełnej kontroli nad przekładami. Kiedy przyjechałam do Francji, ze zdumieniem odkryłam nagle nowe tłumaczenie, więc rozżłoszczona

zadzwoiłam do wydawcy, a ten mi mówi, że wszyscy Polacy twierdzili, że pierwsze tłumaczenie *Ferdydurke* nie było wierne oryginałowi. Co się wkrótce okazało? Ten drugi przekład był bardzo wierny literze tekstu, ale nie Gombrowiczowi. Niedługo potem więc osoba, która jako pierwsza przełożyła *Ferdydurke*, dokonała translacji *Kosmosu*. Generalnie jestem więc przeciwko rozdymaniu znaczenia szczegółów w ocenie przekładów, tym bardziej że – jak myślę – dyskusja na temat tłumaczeń dzieł Witolda nigdy się nie skończy.

S.B.: *Kiedy dokonywano pierwszych tłumaczeń Gombrowicza na języki obce, głównie na francuski, stworzono pewien kanon. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że w tamtych czasach ani Francuzi, ani my Polacy, nie wiedzieliśmy wielu rzeczy w zakresie sztuki przekładu, które dziś są elementarzem. Poza tym sama gombrowiczologia niestęchanie się rozwinęła w ostatnich dwudziestu latach. Obecnie nasza wiedza na temat jego utworów jest po prostu znacznie bogatsza. Czy nie czas pomyśleć o całkowicie nowych przekładach?*

R.G.: W tych sprawach należy postępować ostrożnie, bo nie można z dnia na dzień wyrzucić wszystkiego do góry nogami. Istnieje ostatecznie coś takiego jak tradycja.

S.B.: *Osiem lat temu wydrukowano we Francji nową, krótszą o ? od pierwszego wydania, wersję Albertine disparue Marcela Prousta. Jakos nic złego się z tego powodu nie stało. Po prostu istnieją dwie wersje: stara i nowa.*

R.G.: Ja jednak jestem zdania, że to nie są aż tak złe przekłady. Kiedy pojawi się w przyszłości taka możliwość, można będzie rozważyć kwestię ich weryfikacji.

S.B.: *Słyszałam, że w pani posiadaniu są niepublikowane jeszcze rękopisy Gombrowicza oraz jego korespondencja. Z jakich powodów te inedita nie zostały podane do druku?*

R.G.: Zachowało się sporo listów, które niekoniecznie muszą być ciekawe dla czytelników, więc chyba nie warto ich publikować (na przykład korespondencja z wydawcami). Znacznie ciekawsza byłaby wymiana listów z tłumaczami. Trochę z nich zostało już jednak opublikowanych we fragmentach, a Wydawnictwo Literackie wydało dwie książki, w których zostały zawarte z pewnością najistotniejsze rzeczy. Nie wspominam już o tym, że przy publikowaniu korespondencji zawsze pewien problem rodzi kwestia jej autoryzacji przez adresata.

S.B.: *A czy zostały gdzieś w szufladzie jakieś fragmenty utworów literackich? Rodziny pisarzy często uważają, że nie warto czegoś tam publikować, a po latach okazuje się, że takie okruchy były niezwykle interesujące, czasem nawet ciekawsze od wydanych wcześniej dzieł?*

R.G.: Gombrowicz niestety wyrzucił wszystkie swoje rękopisy, więc sprzed wojny nie zachowało się nic. Kiedy mieszkaliśmy w Vence, pewnego dnia znalazłam sporo rękopisów w koszu na śmieci, więc wyciągnęłam je stamtąd i schowałam do szafy, co Witold natychmiast sarkastycznie skomentował: „No właśnie, zachowa-

Bykowska, Beres Rozmowa z Ritą Gombrowicz

nie typowe dla studentki”. Ale dzięki temu posiadamy rękopis *Kosmosu*, *Operetki* i końcówkę *Dzienników*. Ponieważ zaś Gombrowicz nie wyrzucał rękopisów dzieł nieukończonych, dzięki temu możemy dziś również prześledzić całą ewolucję *Operetki*, którą – jak wiadomo – pisał na raty.

S.B.: *Zbliża się setna rocznica urodzin Gombrowicza, która przypada na rok 2004. Czy zna pani scenariusz obchodów?*

R.G.: Dopiero zaczynam przygotowania do tej rocznicy. Ciągłe pojawiają się jakieś inicjatywy, ale oficjalny patronat nad imprezą objęło Ministerstwo Kultury. Wiem, że szykuje się jakiś międzynarodowy festiwal teatralny w Lublinie, organizowany przez Janusza Krynickiego. Na razie jestem na początku drogi i istnieje tak dużo projektów, że jeszcze nie nadeszła pora, aby o tym mówić szczegółowo. Chciałabym, żeby wszyscy zainteresowani mogli się komunikować z nami za pomocą internetu, bo istnieje już strona poświęcona Witoldowi, poza tym będziemy rozsyłać informacje.

S.B.: *Więc pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że kiedy spotkamy się na obchodach setnej rocznicy, Gombrowicz będzie już sprzedawany od Chin po Antarktydę.*

R.G.: Nie miałabym nic przeciwko temu. Wydawcy również.

Oprac. Karolina BYKOWSKA, Stanisław BERES